

Czas do szkoły, czas,
pośpieszajmy wraz!
Witaj, szkoło,
miło tutaj i wesoło!

Witajcie, dzieci

Wróbelek wita:

Siedzi wróbelek na płocie,
główką kręci i ćwierka:
— Co widzę, mała Weronka,
i Jaguś i Kazimierka?
Ćwir, ćwir, no tak, ciok, ciok,
zaczął się nowy szkolny rok.

Furtka wita:

— Skrzyp, skrzyp, trach, trach,
tyle dzieci aż strach,
witajcie, witajcie,
do klas pośpieszajcie!

Okna witają:

— Szeroko ramiona otwieramy,
wszystkich serdecznie witamy,
do klas zapraszamy!

Pani wita:

— Bywajcie, dzieci miłe,
bywajcie wszystkie razem!

Mały Krasnoludek wita:

Mały Krasnoludek — Promienny
Duszek,
co zna głos ptasząt i mowę muszel
dla was — dla klasy drugiej i
pierwszej
przynosi bajki, obrazki, wiersze.

Co mówią listki

Liście dębowe
palą fajeczki,
opowiadają
straszne bajeczki:
jak to żołędzie
leć z wysoka,
boją się bardzo
wpaść w paszczę smoka.
Może się uda
życie ocalić,
biciem żołędzi
smoka powalić.
Trzymam się mocno
akacji — mamusi,
nie dam się oderwać,
aż mnie jesień zmusi.
Miodek akacjowy
jest najlepszy w świecie.
Lubisz go z bułeczką
i w zimie i w lecie.
Oj! zimno!

Biorą mnie dreszcze.
Zżółkłem bardzo.
Zżółknę jeszcze.
Przed jesienią
drzę ze strachu.
Poratuj mnie,
dobry Stachu!
Dalem ci dziateczki
swoje do zabawy —
włóż do swej książeczki
mój listek żółtawy
Jestem sobie
świerk, świerk, świerk.
Krzyknął wróbel:
ćwierk, ćwierk, ćwierk!
Uciekł, uciekł,
jak oparzony
z ostro kłującej
gałązki zielonej,
bo świerkowej igły
nie dotykał nigdy.

Łakomy murzynek

Mile złego początku — lecz koniec żaloszny.

Nie wiedział o tem mały murzynek Kuki — czarny, jak smoła.

— Kuki... Kuki.. rozlegały się wokół okrzyki.

Szukali małego murzynka tragarze — murzyni, szukał go również biały pan — podróżnik.

Nie było jednak nigdzie małego murzynka. Zewsząd puszcza była czarna i noc była czarna i murzynek był czarny, to też zginął wśród puszczy i nocy bez śladu.

— Kuki... Kuki, gdzie jesteś?

Kuki przepadł, jak kamień w wodę, a wraz z nim przepadł termos białego pana z zimną herbata.

Złościł się biały pan, gniewali się murzyni — tragarze, ale najwięcej wściekał się kucharz, któremu zginął cały sagan gotowanego ryżu, polanego smacznym olejem palmowym.

— Przepaść ryż — rozpaczal — zginąć pyszny ryż... djabeł go napewno ukraść.

Przed świtem rozbudziły białego podróżnika dziwne pojękiwania i szlochy. Wyszedł ze swojego namiotu — i o dziwo — znalazła się zguba. Wśród gęstej trawy przed namiotem leżał mały murzynek Kuki i okropnie jęczał.

— Co ci jest biedaku? — zapytał biały pan.

— O, massa — odpowiedział murzynek — ja chory być, zadużo... zabardzo... za-wiele... ja pewnie zaraz umrzeć.

Obżarstwo i łakomstwo zaszkodziło biednemu murzynkowi bardzo. On to bowiem ukradł staremu kucharzowi Sambo cały sagan smacznego ryżu i białemu panu zimną herbatę w termosie, a potem ukrył się w gąszczu krzewów, aby ucztować w spokoju.

Z wielkim trudem zmieścił w swój mały brzusek taką wielką ilość ryżu i herbaty... i wcale nie wiedział, że ryż w brzuszku jeszcze napęcznieje od herbaty i że od tego biedny brzusek rozedmie się, jak balon.

A teraz płacz... krzyk... nieszczęście.

— Coś ty najlepszego zrobił, mały murzynku Kuki?

— Ja próbować dużo jeść smaczny ryż ze smaczna herbata...

Spoczątku mężnie znosił ból, w obawie przed gniewem starego Sambo, ale później nie wytrzymał i zaczął krzyczeć na cały głos.

— Oj boleć mój brzusek... ia pewnie połknąć żmije.

Białemu panu bardzo było żal łakomczucha, ale nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na widok wydętego, jak balon brzuszka.

Nie minęła kara biednego, małego murzynka Kuki. Musiał wypić całą szklankę wstrętnej, ale to okropnie wstrętnej rycyny.

Krzywił się mały Kuki i przysięgał białemu panu i kucharzowi Sambo, że już nigdy więcej nie ukradnie ryżu.

Myszka

Mówiła myszka do swej mamy.

— Jaki zabawny kotek jest!

My się go też nie obawiamy,

To nie jest wcale dziki zwierz!

Tak się uśmiecha do nas mile,

A gdy spostrzeże — jest nam rad.

Ja chętnie czekam na tę chwilę,

Bo czyżby myszkom dzieci kraść?..

I biegnie myszka na spotkanie,

Nie słucha mądrych matki rad...

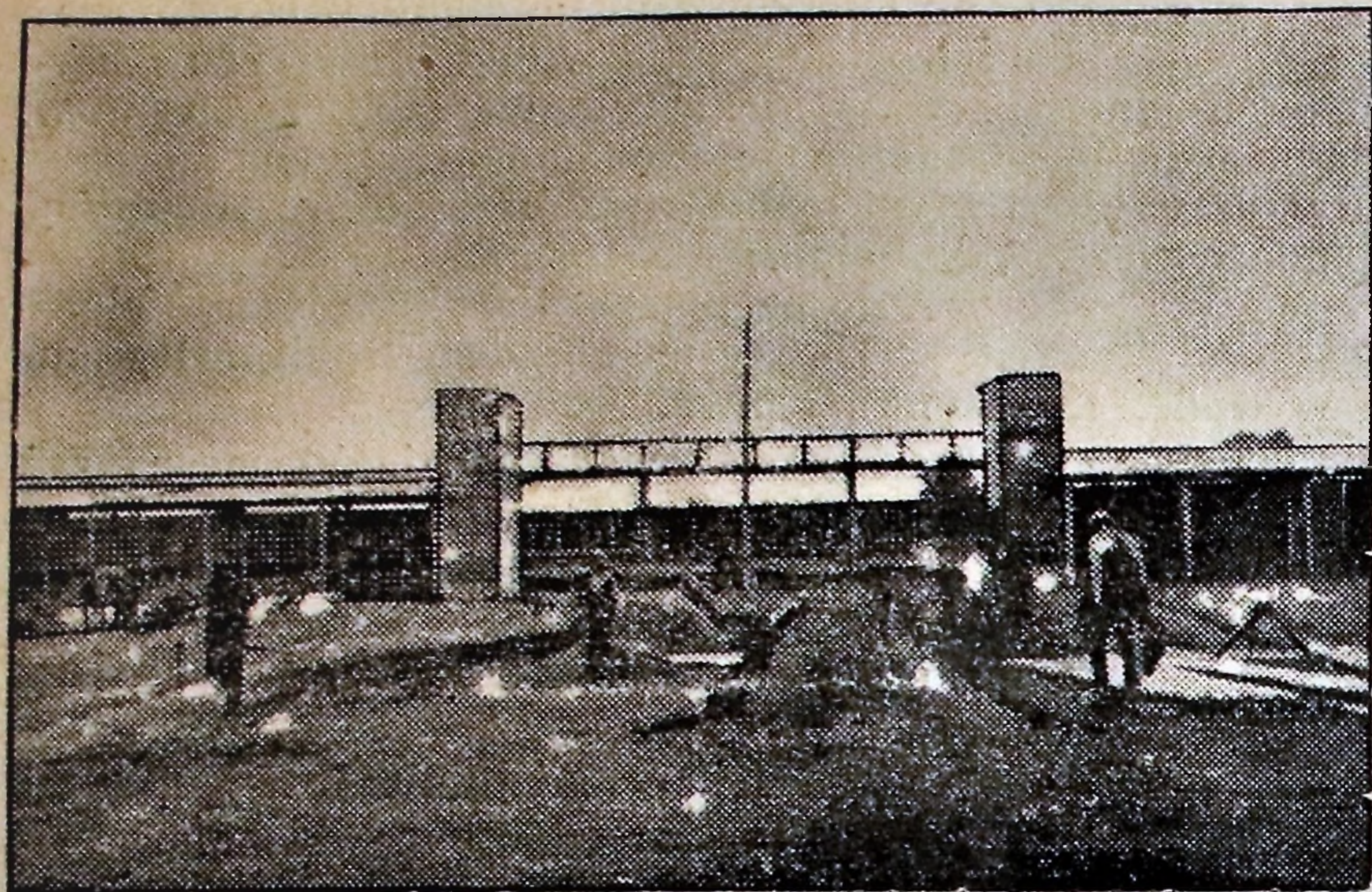
I gizeczny kotek na śniadanie

Białutką myszkę prędko zjadł!

Helena Dawidow

W dniach od 6 do 13 września odbywa się w Rezekne

Wystawa Latgalska



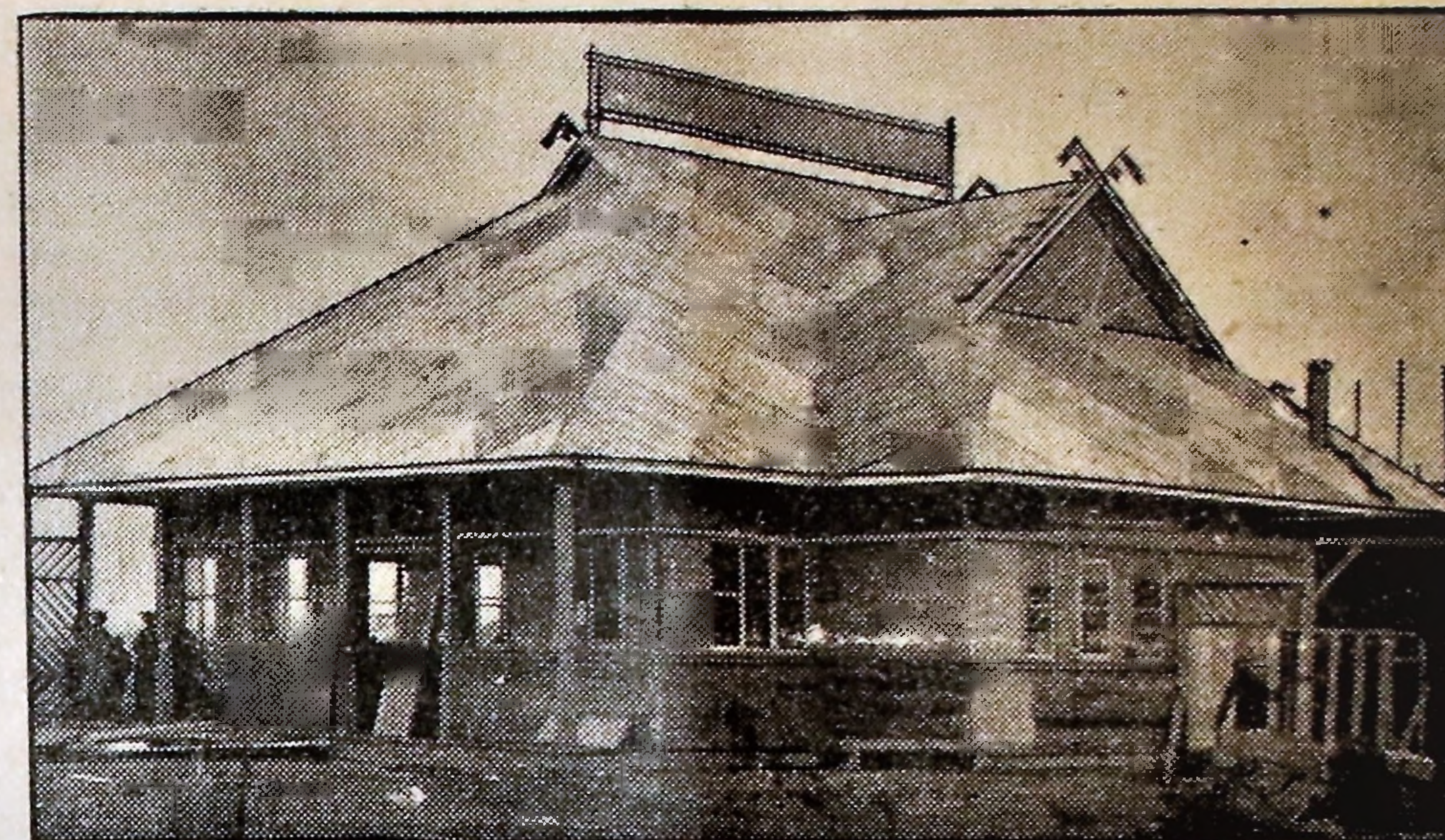
Ogólny widok działu hodowli bydła

W niedzielę 6 września odbyło się w Rezekne uroczyste otwarcie Latgalskiej wystawy.

Na otwarcie tej wielkiej uroczystości przybyli z Rygi dostojni goście w osobach ministra rolnictwa J. Birznieka, ministra oświaty prof. J. Tentelisa, ministra opieki społecznej Wł. Rubulisa i ministra A. Berzińsza, których przy głównym wejściu na wystawę powitał komitet organizacyjny wystawy na czele z prezesem Łotewskiej Izby Rolniczej R. Dzerwe.

Tegoroczna Wystawa w Rezekne jest przeglądem zdobyczy i postępu rolnictwa, przemysłu i życia kulturalnego w Latgalji, która w przeciągu ostatnich lat zrobiła wielki krok w przód.

Wystawa zajmuje pole o powierzchni 8,5 ha, na którym rozmieszczone są pawiljony, przedstawiające poszczególne dziedziny życia gospodarczego Latgalji i całej Łotwy.



Pocztą specjalnie wybudowana dla potrzeb odwiedzających wystawę

PRACA

W huku motorów i maszyn,
rozbrzmiewa trudem naszym
w młotów i w serca łopotach
robota,
robota,
robota!

Na całej szerokiej ziemi
i w dni i w nocy obrotach
dyszy piersiami naszymi
robota,
robota,
robota!

Tysiące, miliony tonn
żelaza, węgla i złota
podaje, rzuca do rak
robota,
robota,
robota!

Sprzedani hukom i błyskom
zwyczajni, czarni ludzie,
my wyrabiamy wszystko
w trudzie.

Nie wiemy, co wicher polny
nad złotym łanem pszenicy.

Kujemy w sztolu
wilgoć i mrok
przez dzień i noc,
przez cały rok
robocze krety — górnicy.
Do miast, do wsi, do fabryk
z zagłębi i gwarnych portów
wozimy bez przerwy skarby:
wagony ciężkich transportów.
Dniem, nocą, w upał czy chłód,
wiatr ostry bije nam w twarzę.
Wieziemy do was nasz trud —
w kolejach kół smrodzie, w
kurzu zatrutym.

Na zydłu, przy warsztacie
robimy wam ubrania i buty
szewcy, garbarze, tkacze.
Czy dzień, czy noc się zmienia
w młotów i w serca łopotach
na świecie wre bez wytchnienia
robota,
robota,
robota!

E. Szymański

Deszcz jesienny

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni
jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w
mgłę mokną,
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni
jesienny...
Wieczornych snów marv powiewne,
dziewicze,
Naprózno czekały na słońca oblicze...
W dal poszły przez chmurną pustynię
piaszczystą.
W dal ciemna, bezkresna, w dal czarna
i mglistą...
Odziane w łachmany szat czarnej żałoby,
Szukają ustronia na ciche swe groby.
A smutek cień kładzie na licu ich
młodem...
Powolnym i długim wśród dżdżu
korowodem
W dal idą na smutek i życie tułacze,
A z oczu im lecą łzy... Rozpacz tak
płacze...
To w szyby deszcz dzwoni, deszcz
dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w
mgłę mokną,
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni
jesienny...
Ktoś dziś mnie opuścił w ten chmurny
dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem
samotny...
Ktoś umarł... Kto? Próżno w pamięci
swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś
pogrzebie...
Tak... szczęście przyjść chciało, lecz
mroków się złąkło.

Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce
mu pękło,
Gdy poznał, że we mnie skręcić
chce próżno...
Zmarł niedziedzic, nim ludzie go wsparli
żałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę
wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg
płaczą...
To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni
jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w
mgłę mokną,
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni
jesienny...
Przez ogród mój szatan szedł smutny
śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną
pustelnię...
Z ponurem, na piersi zwieszonym szedł
czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szal trwogi i śmierć przerażenia...
Aż strwożon swem dziełem, brzemieniem
ołowiu
Położył się na tem kamiennem pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpacz,
I smutków potwornych płomienne łzy
płacze...
To w szyby deszcz dzwoni, deszcz
dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby
w mgłę mokną.
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni
jesienny...
Leopold Staff

O Wojtku cudaku

Opowiadanie z życia górali

Wojtek ta jako Wojtek. Z drogi nic nie powie, ale tys ta za jego drógom nie ujedzie...

Pada mu siostra: Zén sie! — a on jej: Ja ci sie haw beden! zéniel! kie pachnie!...

Pado mu szwagier: Wojtek, zje dyć byk sie przecie ożeniel! — Wojtek zaś: Dajciez pokój, swoku, buki cyrwieniom!

Jedno tak na wiosnę, drugie na jesień. I coż mu powieś? Z drogi nic nie pedział — na wiosne pachnie, na jesieni liście na bukach żółkną, a potem czerwienieją.

Dla Wojtka był cały świat. Był on tak, jako to ów zbójnik Nowobilski, co se rad śpiewał:

Hejze ino, ino jedź,
bo jo lepszy, jako kmieć,
a u kmiecia dzieci som,
a jo hłopiec ino som!

Bo u Wojtka nie było baby, ani dzieci nie było. Miał Wojtek siostrę, i ta się wydała, a oprócz tego małą chałupkę o jednej izbinie i bardzo mało pola. Ale, że Wojtek był dość fajnie urośniony, niesłaby i zdalny, byłby się mógł przyżenić do gruntu, bo go i wdowy majątne i dziewczki posażne chciały, ale on nie chciał.

To mu na wiosnę pachło, to w jesieni buki po reglach czerwieniały — nie miał on czasu o takich rzeczach, jak żeńba, myśleć.

Wojtek se juhasił, bacą bywał, na strzyzki gwizdał, a w zimie ta wyżył jako tako z tego okrawka pola, co miał i z tego, co przy owcach zarobił. Dużo mu nie trza było, bo nie pil.

Ino się siostra i szwagier, ucziwy chłop był, martwili, bo co ś nim będzie? A siostra się wydała dosyć obdalno do innej wsi, o pięć mil, dzieci było huk, to się i o brata starać nie mogła. Co sie razy spotkali, to zaraz do Wojtka: zén sie i zén się! — a Wojtek ta zawdy swoje i swoje.

Żeń się — wiera! A najgorzej jesień.

Listki drżą na gałęziach — osiki, olsze, skorusze, jawory, jasionie, buki... Żółkną, czerwienieją, spadają...

Wojtek dobrze wie, co gadają drzewa...

Mój Wojtecku, mój Wojtecku,
tracimy liść po listecku,

kie nam syćkie liście spadnom,

aj, budzie nam w zimie biédno,

aj, budzie nam w zimie biédno...

— Zeć! Moje ślicne, piékne! — myśli Wojtek. — Ja wam ig haw nie przytrzymiem na gałęzi...

O Boże mój, Boże! Kiedy się jesień rozgarnęła złota, niebieska i czerwieniąta, już ty, siostrzo, ty, szwagrze, Wojtkowi o żeńbie nie radź!

— Swoku — pada mu szwagier, kładąc woreczek na ławie we Wojtkowej izbebecie — posłała wam siostra se mnom krapke mąki na moskale i odkaz, cobyście sie przecie zénił. Bo co będzie?

— Jako: co będzie?

— Dyjeście przecie nie nomłodszy. Pięć śtyrdzieści macie.

— Że dyć wiem.

— No to co będzie? Przidzie starość, a tu, Panie broń, niéma wto lyzki strawy podać, głowe na wyrku dźwignoné. Staremu a samemu to nie tak. Albo i w horości — samo to.

— Hem — kiwie Wojtek głową — moiście wy! Ma mi baba za usami mrajceć, majom mi dziecyska koło ścian brzejseeć, je! Bajto! Śmierć to ino raz, a horość to ta tys nie przez umiar.

Tydzień, dwa tyźnia — oboś zdrów, aboś hań! A tu to i trzidzieści roków pojedyn przy babie stęka. Bacycie wy, swoku, Murzańskiego z Gronia?

Gęsiolecki i basy.

Murzańskiego to ciesy,

a kądziolka, wrzeciono,

bodaj sie to zbeśniło!

— Zje, kie wam, swoku, jino figle w głowie. Bedziecie zalować. Pan Bóg je miłosierny, ale je niewierny. On ciekowi rozum dał, coby se radziel. Haw ci ciece rozum dajem, ale Mi nie dowierzaj. Strzezonego Pan Bóg strzeze, leniwego kijem rzeze. On ta i was, swoku, wyrzeze, boście leniwy do jego wóle. On ciekowi babe stworzel, coby mu do pomocy béla.

— Mnie ta w robocie nie przerecy. Ja, jedno juhas, drugie niestrasny gazda.

— Nie to! Ale cok wam gadał? Starość, a horość.

(Dokończenie na str. 5)

O Wojtku cudaku

— Ej ja ta nie s takiego rodu, co długo żyje, a wie to wto pewnie, jako umre? Moze sie ka skała we Wołosynie urwie, abo niedźwiedz przy baranie przisiednie, no to niebedzie długo. Kiedy ja wiedział, zebyk długo horować kie miał, no, toby kta jesce mészłał. Ale to nie pewne — a babsko pewne.

— Coz was tys ta té baby tak omierzły?! Ludzie na świecie!

— Jel! Ja se kcem do pola, na wiosne pachnie świat: Wojtek! Orba! Ja se kcem na buki jesieniom wyzreć: Wojtek! Młóćba! A spod téj haw ściany: tato, jeść! a spod téj hań znowa: tato! pić! E! Bodaj was ta z takom robotom!

Atu u mnie cicho, cichučko. Kie na posciel legnem, dźwierze uhyłone, bo ja ta z juhasienia zimy zwyczajny, nierad zapieram, kaździučki liść slišem, jak sumi, gwiazdy mi cichučko pedzom: Wojtek! Spis?

Nie śpiem! — Dobry wiecór!..

Dobry wiecór!

— Coz? — pyta się siostra Wojtkowa męża, kiedy do domu wrócił. — Usłuhnon cie?

—

— Nie fce sie zénic?

— Zec to cudak i cudak, sama wies! Uciókek haństela, bo sie mi jaze łeb zawracała, kie gadał. To głupie.

— Głupie. Zawdy takie bélo — powiada smutno. Wojtkowa siostra. — Z małego waryjak i waryjak. Jesień to mu buki cyrwieniom... Nie tak ci pedział?

— Ja ta ani nie rozumiał temu, co radziéł do mnie. Byłby prawie po śmierci hodzić. Kieby tacy sytka béli, toby sie świat skońcéł.

— Odpokutuje on, odpokutuje! — biadkała siostra Wojtkowa. — Zmarnił zycie, dary Boskie, a Bóg mścicy. Nie na to psu dajom, coby oźłał. Aleś mu ta moze nie napediał, jako trza?

— Je to przecie nie krowa, cobyś jěj wiescyce na siłe w owsianem cieście dawala, ba hłop! Cok wiedział, tok pedział. Więcyl nie.

— O! Bedzie tys ś nim biédno kiesi, bedzie...

— Darmo! Z takim cudake nie nie dokazes. Z pajencyny kosule nie uprzedzies, a z huby bryje nie uwarzisz.

— No iści, iści — przychwaliła Wojtkowa siostra smutno.

A Wojtek ta jako Wojtek.

W lesie pasie, a zresztą po świecie patrzy, po drzewach, po liściach. Na wiosnę się zieleni, jaze gra, jesienią tyle kolorów na reglach, aż oczy bolą. Godziny całe Wojtek siedzi przed chałupą i patrzy. A nie przeszkadzał mu nikt, bo chałupa na boku stała, za wsią, wgórze przy laskach. Nieraz i miesiąc zeszedł, a nikt się koło niej nie przewinał, bo po co? Pustelnia to była. Mogłes cejco robić.

Ale Wojtek o to mało dbał, a jak mu się między ludzi chciało, to do wsi zleciał. Jego ta nogi nie bolaly. A patrzył se kielo fciał.

I stroiło mu się to w rozmaite barwy w oczach. Z dnia na dzień liście inaczej świeciły.

Zrazu sie ich chwytała ordzew, rdzewiały, jak żelazo, potem sie stawały burakowe, wiśniowe, złociste, potem płowiały, zglewiałe od mrozów.

A wokoło nich stał smrekowy las, wiecznie ciemno - zielony, dopóki go śnieg nie obielił.

Jeżeli cudnie wyglądała jasna zieleń buków i skoruszy wpośród smreków w lesie, że się czasem zdawało, że lotna mgła zielona na las spadła, to w iesieni dopiero był cud Pana Boga!

— Świecy ze im tys to, świecy, to pocérwieniata liście, tym hań smrekom! — szeptał do siebie Wojtek. — Teloż byś dukaty i korale w trawie poozciskował. A jesce nie tak, ale kiebyś gwiazdami polane posiał..

I patrzył.

A kiedy się zimą biało zrobiło, patrzył Wojtek, jak się do słońca las lśni, albo też, kiedy go wicher poomiatał, poznawał Wojtek buki i jawory, które nagie, czarne konary z bieli śniegowej dobyły.

(Dokończenie w następnym numerze)